Nr. 9 (porz. 190.) Kraków, sobota d. 28. lutego 1903. Rok VI.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu" jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.
Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu", Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Ósmą zapomogę

wypłaciliśmy wdowie po ś. p. Wojciechu Stawowym z Brzeszcz, prenumeratorze „Obrony ludu".

Dziewiątą zapomogę

wypłaciliśmy rodzinie i małoletnim sierotom po ś. p. Józefie Góreckim z Paczułtowic.

Dziesiąta zapomoga

wypłaconą została spadkobiercom po ś. p. Teresie Biśtyga, zmarłej w Lgocie, p. Wadowice. Cześć ich pamięci i wieczny spokój ich duszom.

Słów kilkoro gorzkiej prawdy.

Wypowiedzieć komuś prawdę bez ogródek, to wcale nie należy do przyjemności, bo niejednokrotnie zamiast uznania za tę odwagę spotkać się można z najzupełniej niezasłużonymi zarzutami. Prawda w oczy kole i ludzie, zwłaszcza stojący na wybitnych stanowiskach, słuchać prawdy nie lubią i nie chcą. My się jednak we faryzeuszów bawić nie będziemy, bo trzymamy się i trzymać się będziemy zasady: co na pochwałę zasługuje chwalić

a co na naganę surowo karcić bez względu na to, czy się to komu podobać będzie czy nie.

Tym razem wypowiadamy kilka słów gorzkiej prawdy posłom ludowym, których lud wybrał na swych rzeczników do parlamentu wiedeńskiego. Lud przywiązywał wielkie nadzieje do swych wybrańców i słusznie cieszył się nadzieją, że jego posłowie zajmą się gorliwie sprawami ludu i będą ich bronić całą duszą i całem sercem. Niestety prysnęły złote nadzieje jak bańki mydlane i rychło zgasły jak błędne ogniki, pozostawiając po sobie niesmak i gorycz.

Posłowie włościańscy poprostu zgoła nic nie robią, bo i jakże mają co robić, kiedy ich nie ma w parlamencie a do Wiednia pokazują się wówczas, kiedy ma być wypłata pieniędzy za dyety poselskie. Skoro zaś pieniądze schowają do kieszeni, cichcem wynoszą się jeden za drugim ku dworcowi kolejowemu i jazda do chałupy. Takie postępowanie posłów włościańskich to już nie na lekceważenie przyjętych na siebie obowiązków ale na najzwyklejszą zdradę sprawy ludowej wygląda. Jeżeli tak dalej pójdzie, jeśli posłowie włościańscy zamiast pilnować interesów ludu w parlamencie, będą siedzieli w domu, to trudno myśleć o szybszym postępie i rozwoju sprawy ludowej, trudno się dziwić, że lud coraz bardziej upada na duchu i obojętnieje dla polityki. Tą chorobą unikania parlamentu dotknięci są przedewszystkiem ludowcy, mianowicie posłowie Bojko, Krępa, Kubik i Olszewski, którzy tworzą osobny klub i nie należą do »Koła polskiego«. Nadarmobyś szukał tych posłów we Wiedniu, gdy parlament obraduje, bo oni najspokojniej siedzą sobie w domu!!! Wychodzą oni widocznie z tego punktu widzenia: »czy siedzimy we Wiedniu czy w domu to wszystko jedno, bo i tak w obradach parlamentu nie bierzemy żadnego udziału, a siedzieć we Wiedniu to kosztuje i trzebaby z otrzymanej dziesiątki dziennie wydać ze 2 lub 3 złr. a przecież tego szkoda, więc lepiej jechać do domu to się nic nie wyda i więcej się zaoszczędzi grosza z czasów poselskich!« I to ma być reprezentacya włościańska, to ma być opozycya chłopska! To wstyd, to hańba, by posłowie włościańscy takie poniżające stanowisko w parlamencie zajmowali, by sobie o nich inni posłowie ze szyderstwem opowiadali, że tylko przyjeżdżają do Wiednia, kiedy jest wypłata i znów wracają do domu. Takie zachowanie się posłów ludowych rzuca niesłusznie smutne światło na cały lud polski. Zechciejcież Szanowni posłowie zrozumieć, że Was lud nie na to wybrał na posłów, byście z dyet jak najwięcej zaoszczędzili ale byście interesów ludu bronili, a jeżeli uważacie się już za niezdolnych do spełnienia na siebie przyjętych obowiązków, jeżeli nawet po polsku nie umiecie przemówić w obronie deptanych praw ludu, to przynajmniej tam siedźcie i nie wystawiajcie się na pośmiewisko całej Izby poselskiej i całego kraju! Stańczycy kpią sobie z Was i całkiem słusznie śmieją się z takiej opozycyi, a gdy się kto zapyta którego z posłów, należących do Koła polskiego, co tam robią ludowcy, to z szyderstwem

odpowiada, a cóżby robili, kiedy ich w Izbie prawie nigdy nie ma! Powiedzcie pp. posłowie: Bojko, Krempa, Kubik i Olszewski, czy możecie z czystem sumieniem występować na zgromadzeniach przeciw »Kołu poskiemu« i przeciw posłom stańczykom, że nic nie robią, że ludu nie bronią, kiedyście Wy poniekąd gorsi od nich, bo tamci przynajmniej kamieniem siedzą we Wiedniu a Wam się nawet tego nie chce! A przecież Wyście przedewszystkiem są powołani do bronienia krzywdzonego ludu. Wszak postawienie lub podpisanie małoznaczącej interpelacyi, pracą poselską nazwać niepodobna! W ostatnich czasach toczyły się obrady nad przedłożeniem rządowem o zezwolenie parlamentu na pobór rekruta, czy który z Was nie powinien był zabrać głosu, by choć w języku polskim przedstawić te krzywdy, na jakie są narażone dzieci chłopskie w służbie wojskowej. To był Wasz obowiązek. Wyście jednak milczeli i ani jeden głos chłopski nie podniósł się w tej tak bardzo lud obchodzącej sprawie, bo Was nawet w Izbie nie było! Powiedzcie sami, jak to nazwać? Krzyczy się na zgromadzeniach na »Koło polskie« na »Koło pańskie« tymczasem trzeba przyznać, że dzisiaj to »Koło polskie« to »Koło stańczykowskie« ujęło w swe ręce sprawy ludowe i o ich korzystne przeprowadzenie coraz bardziej się stara. Posłuchajcie, co o Was pisze jeden z dzienników i to niestańczykowskich:

»Śmieszną wręcz jest rola posłów, zwących się ludowcami, którzy z założonemi rękami przypatrują się, jak Koło zwane przez nich »pańskiem« bezustannie walczy o prawa ludowe, zdobywa w każdej sesyi korzyści dlu ludu, oni zaś, jak błędne owce, kręcą się po Izbie tu i owdzie, zainterpelują o dziurę w moście i śnieg w rowie albo, co gorzej, dadzą się nadużyć do podpisania interpelacyi zupełnie ich kierunkowi i przekonaniom przeciwnej. Z innych »praw niezależnego klubu« dotąd chyba ludowcy nie korzystali, chyba, że do tych praw należy nieobecność całymi miesiącami w Izbie«.

Jak to przykro i bolesno czytać takie zdanie o posłach ludowych a niestety zupełnie usprawiedliwione. — Tu krzyk na stańczyków i na »Koło polskie« w czasie zgromadzeń nie na wiele się zda i może tylko chwilowe odnieść zwycięstwo. Lud żąda dowodów, lud żąda pracy i skutku tej pracy. A gdy porówna działalność posłów ludowych z działalnością posłów »Koła polskiego« przychodzi do smutnego przekonania, że szkoda prześladowań, szkoda pracy, mozołów i zabiegów na wybieranie posłów włościańskich, bo z nich nie ma żadnej korzyści! Jeśli my wypowiadamy tych kilkoro słów gorzkiej prawdy posłom ludowym, to czynimy w interesie ogólnej sprawy ludowej, bo nie możemy patrzeć spokojnie, jak sami posłowie włościańscy swem postępowaniem grzebią grób dla sprawy ludowej i przyczyniają się do bankructwa hasła: »Chłopi, wybierajcie chłopa«. Dziwi nas mocno, dlaczego tygodnik »Przyjaciel ludu« milczał dotąd i nie zwrócił uwagi swym posłom na ich lekceważenie i zaniedbywanie obowiązków poselskich i na to ich już powszechnie znane przesiadywanie w domu zamiast w parlamencie. Takie mil-

czenie może się fatalnie odbić na całem stronnictwie i może mu podkopać zaufanie u swych stronników. Mamy nadzieję, że posłowie ludowi nie wezmą nam za złe to wypowiedzenie im choć gorzkiej, ale otwarcie wypowiedzianej prawdy, które ma na celu nie osłabianie ich powagi ale zmianę w dotychczasowem postępowaniu, którem sobie i ludności ogromną szkodę wyrządzają. My rozumiemy, że grosz jest ponętną rzeczą ale dla zaoszczędzenia go w większej ilości, nie można zaprzepaszczać tak wielkiej, tak świętej sprawy jaką jest sprawa ludowa, obejmująca nietylko krzywdy i uzasadnione prawa całego ludu, ale przyszłość całego Narodu, przyszłość naszej Ojczyzny! Oby ta gorzka prawda była dla Was pp. posłowie włościańscy, czem jest dla chorego gorzkie lekarstwo!

Śmierć z głodu z dala od swoich.

Smutne są nieraz dzieje człowieka, który nie mając w ręku rzemiosła i nie umiejąc języka angielskiego, puszcza się za ocean w pogoni za szczęściem, w nadziei polepszenia sobie bytu. Grosz przywieziony wyczerpuje się szybko, przyjaciół nie znajduje się na ulicy, nieznajomość języka stoi na przeszkodzie w poszukiwaniu pracy, i oto przychodzi nędza straszna, nieubłagana.

Okropny koniec takiego wychodźcy za oceanem opisuje »Dziennik chicagowski«:

»Gdy jedni weselą się i bawią, inni umierają na ulicy z głodu i wycieńczenia. Wypadek taki zdarzył się ostatniego dnia ubiegłego roku na ulicach Nowego Jorku, a ofiarą jego padł, niestety, Polak nieznanego nazwiska.

Kim był i skąd się wziął, nikt nie wie, i zapewne nigdy się nie dowie. Widziano go na ulicy, chwiejącego się z głodu i chłodu, lecz nikt nie wiedział, co mu brakuje, a biedna ofiara, nie znająca języka, nie mogła powiedzieć, że ją głód trapi.

Chłop wysoki, muskularny, w sile wieku, zdrowy i silny, umiera śmiercią głodową na ulicy wobec przechodniów. Widziano go, gdy bez kapelusza w koszuli tylko, szedł od drzwi szynku do drzwi restauracyi.

Z zewnątrz zabił go zapach potraw, otwierał więc drzwi, lecz groźną minę stojącego za stołem kelnera i energiczny ruch ręki, nakazujący wynoszenie się, z pośpiechem zamykał drzwi i szedł dalej, a głód mu dokuczał coraz mocniej. Widziano go, jak otworzył do szynku Kennedego, następnie do restauracyi Ahrena i do Rauba, lecz wszędzie spotkał się z surowym wzrokiem i ruchem ręki i szedł dalej.

Słaniającego się spotkał go policyant Stephenson. Nieznajomy wskazał mu ręką na żołądek, i spojrzawszy błędnemi oczyma, wyrzekł słabym głosem:

— Ja jestem głodny...

Policyant nie zrozumiał go i poszedł dalej. Nieznajomy pozostał, a gdy postąpił kilka kroków, zachwiały się pod nim nogi, ściemniło mu się w oczach i zakręciło w głowie; głód pozbawił go władzy członków. Nieznajomy przycisnął ręce do piersi i osunął się na chodnik na ul. Elm.

Policyant Kane, myśląc, że ma do czynienia z pijakiem, przystąpił do niego i przy pomocy towarzysza Stephensona, który powrócił, zaniósł go do szopy pod nr. 72 przy tej samej ulicy. Nieznajomy spojrzał na otaczających go zamglonemi oczyma, wyrzekł jeszcze raz słowa: »jestem głodny« i skonał. Przy zmarłym znaleziono tylko kartkę z pewnej apteki z nazwiskiem dra Tworzyńskiego, lecz nic więcej, coby mogło przyczynić się do poznania jego nazwiska. Taką to śmiercią zginął Polak, zdala od swoich, w obcym kraju, dokąd wyjechał, szukając chleba i szczęścia.«

DZIWOLĄGI.

Przed 25-iu mniej więcej laty żyli dwaj Azjaci — bliźniaki, znani wówczas pod mianem »braci sjamskich«. Byli to dwaj chłopcy, ze sobą zrośnięci, bo łączyła ich kilkocalowa gruba błona między piersiami obudwu.

Jeździli oni po całym niemal świecie, pokazywali się za pieniądze, których też zgromadzili dużo. Byli to ludzie wykształceni, ale w usposobieniach różniący się bardzo, bo nawet odmienną wiarę wyznawali. Nie odznaczali się też wielkiem przywiązaniem do siebie i nawet rozdzielić się chcieli, lecz okazało się to niemożebnem, z tego podobno powodu, że gruba błona łączyła ich serca, z których jeden miał je z prawej strony. Umarli w jednym dniu, w parę godzin jeden po drugim.

I teraz znowu pokazywani są po różnych miastach tacy bliźnięta chińscy — Tou-Chen i Liao-Sienne-Chen. Są to dwaj 15-letni chłopcy, tak samo błoną w piersiach zrośnięci.

I ci też różnią się podobno w usposobieniu, a nawet często kłócą się ze sobą, ale dotąd o rozdzieleniu nie myślą. Czasami osobniki podobne rozdzielano za pomocą operacyi, bez szkody w zdrowiu operowanych.

Nansen pośród lodów północy.

(Ciąg dalszy.)

Posłuchajmy, jak Nansen opisuje to groźne zjawisko.

»Walka pomiędzy masami lodów — jest to coś wspaniałego, przejmującego dreszczem zgrozy; lękliwe umysły doznają niepohamowanego strachu. Zdaje się w istocie, że nic nie zdoła się oprzeć potędze żywiołów, ani jedna piędź powierzchni ziemi nie

pozostanie w spokoju. Z początku daje się słyszeć w wielkiej śnieżnej pustyni hałas, podobny do podziemnego grzmotu; hałas ten stopniowo się zbliża. Milczący świat lodów wypełnia się echem tych grzmotów... olbrzymy przyrody stają do walki. Lody wszędzie pękają, podnoszą się, i w jednej chwili widz spostrzega, że się znajduje w samym wirze walki... Wszędy wycia i grzmoty, lody drżą, ryczą pod twojemi stopami. W półcieniu dźwigają się z równego pola całe wały i wzgórza, biegną naprzeciw siebie i opadają. Kry, grube na dwa, a nawet na trzy sążnie, łamią się w kawały i wyskakują jedne nad drugie, jak szczupaki. Już wzgórza lodowe są blisko, uciekasz, żeby życie ratować: a tu nagle kra roztwiera ci się pod nogami i ukazuje się czarna przepaść, z której bucha woda. Przelękniony zwracasz się w drugą stronę, ale spostrzegasz nowy wał lodowy i stamtąd bieży na twe spotkanie. Kierujesz kroki znowu gdzieindziej, ale wszędzie to samo, — wszędzie grzmoty i ryki, podobne do huku olbrzymiego wodospadu, do wybuchów, do salw armatnich. Odłamy lodu, spiętrzone w wały, grożą zgnieceniem wszystkiemu, co spotkają na drodze; kra, na której stoisz, ciągle się zmniejsza, woda ją zalewa, niema już żadnej ucieczki, chyba wdrapać się na przewracające się bryły i dostać się na tamtą stronę ruchomego wału.

W tem łoskot zaczyna głuchnąć, konwulsyjne drgania potężnej kry ustają — powoli wraca cisza i dawny spokój«.

Takie ciśnienie lodu powtarza się dość często — co miesiąc, a nawet co tydzień.

Gdyby można było spojrzeć na pola lodowe z góry, ujrzelibyśmy nieskończoną sieć o nieregularnych oczkach, — tylko, że oczka składają się z potężnych wałów, sięgających wysokości domów.

Trudno sobie wyobrazić, z jak straszną siłą dławią okręt takie kry; gdyby nie nadzwyczajna wytrzymałość Frama, uległby on napewno ich atakom.

Kiedy lody naciskały go, skrzypiał i jęczał, ale pozostał nienaruszony; kry łamały się o jego boki, ześlizgiwały się po ich pochyłej powierzchni i podchodziły pod spód, przytem statek podnosił się w górę na parę stóp: kra nie zdołała atoli utrzymać ciężaru i łamała się pod nim. Niebawem podróżni do tego stopnia upewnili się, że to niebezpieczne zjawisko nie wyrządzi nic złego ich statkowi, że prawie nie zwracali na nie uwagi.

Wraz z zimą nastały mrozy, dochodzące czterdziestu paru stopni. Takiego mrozu u nas niema podczas najtęższych zim. Ażebyśmy mogli wyrobić sobie o nim pojęcie, powiemy, że przy czterdziestu kilku stopniach oddech zamarza i zamienia się w śnieg; zwierzę, czy człowiek, wydaje się otoczony obłokiem pary, który wraz z nim się porusza; czuje się kłócie w piersiach i ściskanie głowy niby obręczą. Ślina zamienia się w lód, zanim doleci do ziemi; wódka i oliwa zamarzają, — żywe srebro zazwyczaj płynny metal, twardnieje i pozwala się kuć na kowadle; chleb trzeba rąbać siekierą, bo staje się twardym, jak kamień, metale kruszeją tak, że niebezpiecznie jest strzelać ze strzelby, bo lufa może prysnąć

w kawałki. Trzeba się bacznie wystrzegać, żeby nie dotknąć gołą ręką metalowego przedmiotu, bo każdy pali, jak rozżarzone żelazo, a skóra się doń tak przylepia, że jej niepodobna oderwać... Zdarzyło się, że młody psiak, igrający na pokładzie Frama, polizał gwóźdź wbity w deskę — i język mu doń zaraz przymarzł. Biedne zwierzę daremnie starało się uwolnić i skowyczało przeraźliwie z bólu; dopiero Nansen rozgrzał trochę gwóźdź i wyswobodził niedoświadczonego szczeniaka. Kiedyindziej znowu drugi pies zbliżył się zanadto do kręcącego się wiatraka: sierść przylepiła mu się do żelaznej śmigi i nieborak został zabity.

Ludzie łatwo jednak znoszą najtęższy mróz, byle tylko nie było wiatru. Ale kiedy powietrze jest niespokojne, nie sposób nosa wytknąć na dwór.

Co kilka dni podróżni rozpoznawali z położenia gwiazd na niebie i z zegarków, jak to zawsze czynią żeglarze, położenie okrętu na oceanie. Fram posuwał się wprawdzie ku północy, ale tak wolno, że w końcu Nansen stracił cierpliwość.

Upłynęły już bowiem dwie zimy pośród lodów, a do bieguna było jeszcze daleko, ze sto mil. Dzielny badacz obliczył sobie, że podróż taka z lodami zadługoby trwała, — postanowił więc opuścić okręt i próbować, czy mu się nie uda dotrzeć dalej przy pomocy sanek.

Postanowienie to było zuchwałe! Jakże porzucić okręt, gdzie się żyło tak wygodnie, i wędrować lodami zdala od lądu dziesiątki mil, narażając się na śmierć z głodu, z zimna? — Jeżeliby nawet udało się dotrzeć lodami do samego bieguna, to jak stamtąd wrócić? Ale Nansen był zuchem, co się zowie, niebezpieczeństw i trudów się nie lękał: jak raz powiedział sobie, że pojedzie. to pojechał.

Zrobił troje sanek, naładował na nie żywności dla siebie i dla psów, wziął namiot, odzież, naftę do kuchenki, broń i amunicyę, — słowem wszystko, co się mogło przydać w takiej podróży, nawet lekkie łódki; zaprzągł do każdych sań po kilka psów i opuścił Frama w towarzystwie jednego tylko towarzysza — Johansena, człowieka niesłychanie odważnego, dzielnego i pełnego zapału.

Rozpoczęła się niezmiernie uciążliwa wędrówka przez pola lodowe. Gdyby lody pod biegunem były równe, to podobna podróż nie nastręczałaby wielkich trudności; ale niestety, wiele do tego brakowało. Co paręset kroków podróżni napotykali zatory i wały, ułożone z kończastych, spiętrzonych jedna na drugiej brył, pomiędzy któremi sanie posuwały się niezmiernie wolno; niekiedy trzeba było przenosić na barkach. Miejscami ławica lodowa stawała się wzgórkowatą; rzekłbyś, że ocean wzburzony ściął się nagle pod działaniem mrozu.

Przenoszenie sań ładownych tak wyczerpywało siły wędrowców, że szli, śpiąc i zataczając się na nogach. Na noc zatrzymywali się gdziekolwiek w pobliżu zatorów lub gór lodowych, aby mieć ochronę od przejmującego wiatru. Johansen zajmował się psami, Nansen rozbijał namiot, napełniał lodem kociołek, zapalał kuchenkę naftową i gotował wieczerzę. Składała się ona z polewki mięsnej, z mąki rybiej, grochówki, jarzyn, suszonego mięsa i t. d.

Starali się bowiem o urozmaicenie posiłku. Skoro Johansen

nakarmił psy, wnosili do namiotu worki z żywnością, przeznaczoną na śniadanie, i worek futrzany, zastępujący łóżko, zamykali starannie wnijście do namiotu i wsuwali się w ów worek.

Przedtem jednak trzeba się było rozebrać, co nie było łatwem zadaniem, gdyż pot i wyziewy z ciała zgęszczały się w odzieży i zamieniały ją na mrozie w sztywny chrzęszczący za każdem poruszeniem pancerz, którego zdjąć z siebie niepodobna. Do jakiego stopnia odzież stawała się sztywną, widać z tego, że fałda na łokciu skaleczyła dotkliwie Nansena w rękę; do rany dobrał się mróz i wygryzł ją aż do kości. Blizna od tego zostanie mu na całe życie.

»Kiedy włazimy do worka — mówi Nansen — ubranie powoli odmięka; zanim jednak to nastąpi, leżymy parę godzin, szczękając zębami; wkońcu robi się o tyle giętkiem, że je można zdjąć. Niestety, nie trwa to długo. Niebawem po wstaniu ze snu mamy znów na sobie jakby tekturową odzież.

Szczękając zębami w worku, oczekiwaliśmy, aż kolacya się ugotuje; smakowała nam zawsze wybornie.

Często byliśmy tak śpiący, że łyżka niesiona do ust wypadała nam z ręki.

Rano, jako kucharz, muszę wstawać pierwszy i przyrządzać śniadanie. Kiedy wszystko gotowe, budzę Johansena. Jedna z kołder wełnianych służy nam zamiast stołu, na którym po skończonym posiłku piszemy przez godzinę dzienniki podróży. Potem trzeba ruszać w drogę. Ja idę naprzód i szukam najlepszej drogi; za mną sanki, ciągnione przez psy, które niebawem nauczyły się postępować moim śladem. Dalej wlecze się Johansen, z dwojgiem sanek, nawołując i poganiając psy długim batem. Często wypada być okrutnym dla biednych zwierząt. Serce wzdryga się na wspomnienie o tem; wydobywaliśmy z naszych psów ostatnich sił, póki śmierć nie uwolniła ich od cierpień. W południe, wyszukawszy jaki kącik, zatrzymujemy się na krótki wypoczynek i posilamy się chlebem i mięsem.

Niejednokrotnie w przeprawie przez strome górki o mało co nie połamaliśmy sanek; trzeba często zdejmować cały ładunek, żeby się przeprawić na drugą stronę. Na domiar złego lejce i uprząż ciągle się wikłają; trzeba rozplątywać węzły zbolałemi od mrozu rękami — i to doprowadza nas do rozpaczy«.

Tak podróżował Nansen ze swym towarzyszem. Z tego jednego dnia sądźmy o reszcie; ale pamiętajmy, że, w miarę jak posuwali się naprzód, zjawiały się nowe przeszkody.

Pomimo wszelkich wysiłków, wędrowcom nie udało się dotrzeć do bieguna. Dzieliła ich od tego punktu odległość pięćdziesięciu kilku mil geograficznych — czyli prawie 400 kilometrów. Na pociechę mogli sobie jednak powiedzieć, iż żaden z ich porzedników nie zapuścił się tak daleko w pustynię wiecznych lodów: najszczęśliwszy podróżnik znajdował się nie o 400, lecz o 700 z okładem kilometrów od bieguna. Był to więc wielki tryumf, który zjednał śmiałym badaczom uznanie całego świata.

Trzeba było wracać, bo żywność dla psów miała się ku schyłkowi; biedne stworzenia opadały z sił wskutek nadmiernej pracy.

Dziewiątego kwietnia 1895 r. ruszyli więc na południe, w stronę ojczyzny, odległej o setki mil.

W kilka dni potem podróżnikom wydarzyła się niemiła przygoda: oto zapomnieli nakręcić zegarków i te stanęły. Wiemy już, że zegarki są potrzebne do oznaczenia miejsca, na którem się żeglarz lub podróżnik znajduje: od tej więc fatalnej chwili Nansen i jego towarzysz nie mogli już rozpoznawać swego położenia wśród pustyni lodowej i szli na chybił trafił, starając się dostać do najbliższego lądu.

Powrotna droga była równie uciążliwa, jak droga na północ. Pomimo lata i ciągle świecącego słońca, ocean nie zdołał zrzucić swego lodowego pancerza; tylko śnieg stawał się coraz bardziej grzązki tak, iż psy i ludzie brnęli w nim po kolana z największym wysiłkiem. Gdyby nie to, że mieli poprzywiązywane do nóg łyżwy drewniane z deseczek, obitych futrem foki, to podróż stałaby się niemożliwą. Miejscami napotykali dziury w lodzie — niby obszerne jeziora, ciągnące się na kilkanaście kilometrów wzdłuż i kilka wszerz. O przeprawianiu się na drugą stronę nie było co nawet marzyć, musieli tedy okrążać tę przeszkody, tracąc nieraz na to cały dzień czasu. W poszukiwaniu drogi Nansen często załamywał się na cienkim lodzie i tylko cudem nie utonął.

Tymczasem żywność dla psów wyczerpała się doszczętnie. Cóż było robić? Zabijali chore psy, niezdolne już ciągnąć sań, i mięsem ich karmili pozostałe. Biedne zwierzęta nie chciały z początku jeść swych towarzyszów niedoli: głód atoli przezwyciężył wstręt — i potem rzucały się żarłocznie na ohydną strawę.

Tak, niestety, musiał Nansen wynagradzać poczciwe zwierzęta za ich usługi, za ich trudy i cierpienia!

(C. d. n.).

SPRAWY LUDOWE.

Tylko tak dalej! Rada powiatowa bocheńska uchwaliła w styczniu b. r. zniesienie myt na drogach pawiatowych od 1-go marca 1903 roku! Oto dalszy przykład, a taki piękny za którym powinny pójść wszystkie Rady powiatowe w Galicyi. A lękamy się, czy Rada powiatowa krakowska, która ze względu na swoją przeszłość powinnaby dać innym Radom powiatowym przykład, w tym wypadku nie będzie do ostatnich należeć!? Mamy nadzieję, że po jakich dwóch lub trzech latach znikną szubienice rogatkowe z dróg galicyjskich.

Mądre zarządzenie. Magistrat m. Tarnowa wydał obwieszczenie z wezwaniem właścicieli ogrodów i sadów, ażeby bezwłocznie przeprowadzili dokładne oczyszczenie drzew owocowych i krzewów z zarodków gąsienic, a pojąwiające gąsienice energicznie tępili. Takie przypomnienie powinniby wszyscy wójtowie uczynić, aby gospodarze wcześniej zabrali się do czyszczenia drzew owocowych., Gdy bowiem gąsienice już się wylęgną i porozłażą po drzewach

to je potem trudno wytępić. Za taką zaś pracę drzewko opłaca się obfitym owocem. Dbajcie gospodarze o swe ogrody i sady, jeśli je macie, a będziecie mieć tak pod dostatkiem owoców, jak ich w innych krajach mają.

Krzywdy i nadużycia.

„Mają oczy a nie widzą, mają uszy a nie słyszą“. Takby się można odezwać do naszych autonomicznych i c. k. Władz krajowych. Od dwóch lat przeszło szturmuje gmina Wola radziszowska tak do Wydziału krajowego jak i do c. k. Namiestnictwa, by ją raz uwolniono od opieki naczelnika gminy, ale wszystko napróżno! A jest to rzecz ani nie do zrozumienia, ani nie do pojęcia. Gdzieindziej za małe »przeskrobanie« suspendują wójta i usuwają z urzędu a wójt Woli radziszowskiej hula, co się zowie, dopuścił się rozmaitych nadużyć, sprzeniewierzeń i innych zbrodni a mimo rozpaczliwego kilkakrotnego wołania gminy do wysokich Władz o ratunek, siedzi sobie p. wójt Maślanka w spokoju, jak u P. Jezusa za piecem, bo Władze nie chcą widzieć, nie chcą słyszeć?! Podobno jest jakaś ustawa, że urzędnika, któremu zarzucono zbrodnię, zawiesza się w urzędowaniu, dopóki sprawa nie zostanie sądownie rozstrzygnięta a p. wójt Maślanka otrzymał z c. k. Prokuratoryi akt oskarżenia o zbrodnię oszustwa i krzywoprzysięstwa a mimo to nadal w urzędowaniu pozostaje!? Czyż to nie jest demoralizujące trzymać na wójtostwie człowieka, na którym ciążą tak okropne zarzuty, jak zbrodnia oszustwa i krzywoprzysięstwa? Wszak trudno przypuścić, aby Władze takich ludzi otaczały skrzydłami swej przemożnej opieki, a przecież, patrząc na to, co się w Woli radziszowskiej dzieje, tak wygląda. W samej gminie panują wprost zastraszające stosunki. Demoralizacya wyprawia swe orgie w całej pełni, pijaństwo kwitnie, jak nigdy przedtem, a w szynkach u Maślanki po całych nocach otwartych upijają się ludziska na »umor«. Dodawszy do tego bitki, awantury, przekleństwa, to obraz spustoszenia moralnego, jaki rządy wójta Maślanki do gminy sprowadziły. Jeszcze dnia 17-go b. r. Bóg wie po raz który, wniosła cała Zwierzchność gminna przedstawienie tych opłakanych stosunków do Wydziału krajowego i c. k. Namiestnictwa ale jak dotąd... cicho!!! I dokądże to ta »ślepota« i »głuchota« Władz trwać będzie? W gminie gotuje się, wrze i kipieć zaczyna, rozgoryczenie i oburzenie wzrasta, zasób cierpliwości się zmniejsza a Władze, czyż długo jeszcze milczeć będą! Czy koniecznie gmina ma udać się do Wiednia i tam ku uciesze niemiaszków prosić o wypranie naszych domowych brudów? Może wreszcie JE. p. Marszałek i JE. p. Namiestnik raczą wglądnąć w to bagno Woli radziszowskiej i z p. wójtem Maślanką raz porządek zrobią. A gdyby to tak dalej trwało, to trudno, trzeba się będzie udać do Wiednia. A więc czekamy.

Czy jeszcze mało? Już oddawna upominają się mieszkańcy Radziszowa i Woli radziszowskiej o zbudowanie mostu na rzeczce Skawince, która płynie przez wzwyż wspomniane gminy, odgraniczając je od m. Skawiny. I chociaż rok rocznie dodatki na utrzymanie dróg i budowę mostów coraz bardziej się zwiększają, Rada powiatowa w Wieliczce nad prośbami Radziszowa i Woli radziszowskiej przechodzi do porządku dziennego, rzucając je do kosza, bo to jest najłatwiejszy sposób załatwiania kawałków. Tymczasem most na rzece Skawince jest niezbędny tak dla komunikacyi, jak i dla uchronienia ludu przed nieszczęściem. Nie wiedzieć na co jeszcze wyczekuje Wydział Rady powiatowej, czyżby czekał na większą liczbę ofiar z życia ludzkiego? Wszak już tego roku dnia 6-go lutego utopił się chłop z Radziszowa a konie ledwo uratowano. Zaś dnia 11-go lutego, chociaż nie było ani większej odwilży ani dłuższych deszczów, jeden z nauczycieli z Woli radziszowskiej, jadąc wraz z żoną do Skawiny, o mało się nie potopili. Zapewne ta przymusowa kąpiel wśród zimy odbije się na ich zdrowiu! A kto temu winien? Rada powiatowa w Wieliczce, która sobie wprost lekceważy życie ludzkie! Czyż jeszcze mało ofiar?

Czy to honorowo? Dnia 14. maja 1902 r. przybył do Skawiny p. Dąbrowiecki, rotmistrz c. k. Żandarmeryi, celem wynajęcia mieszkania dla tamtejszego posterunku. Najlepiej nadawał się do tego dom, należący do p. Korzeniowskiej. Zrobił więc p. rotmistrz z właścicielką pisemną ugodę wobec świadka p. Fr. Wierzbickiego, że c. k. Żandarmerya zamieszkała w tym domu od dnia 1. października 1902 roku. Na ten przedkontrakt, jak nazwał p. rotmistrz swą pisemną ugodę, dała p. Korzeniowska stempel za jedną koronę. Przy tem polecił p. rotmistrz pewne przeróbki. Stanowcza odpowiedź miała nadejść w przeciągu 30 dni. Tymczasem minął jeden, minął drugi miesiąc, a to samo i trzeci, a odpowiedzi jak nie ma tak nie ma. Nadszedł wreszcie dzień 1-go października 1902 r., i ze zdumieniem dowiaduje się p. Korzeniowska, że c. k. Żandarmerya wprowadza się do domu p. Ocetkiewicza, naczelnika stacyi kolejowej. Ponieważ była prawie pewność, że w domu pp. Korzeniowskich będzie umieszczona od 1-go października c. k. Żandarmerya, z tego powodu stało mieszkanie od 1-go czerwca aż do 1-go października próżne, bo nikt nie chciał na tak krótki czas mieszkania wynajmować. Dlaczego zaś p. rotmistrz obiecanej odpowiedzi do 30 dni nie nadesłał i dlaczego mimo przedwstępnej ugody gdzieindziej posterunek umieszczono, trudno zrozumieć i pojąć, ale na tej tajemnicy najgorzej wyszli Korzeniowscy, bo stracili przeszło 100 złr. P. rotmistrz powinienby tę sprawę wyświetlić, bo to jakoś bądź co bądź trochę ciemno wygląda. (Tu by się przydała skarga o odszkodowanie *Redakcya).*

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Wiedeń. Dnia 20 lutego uchwaliła Rada państwa nową ustawę wojskową, na której rządowi bardzo zależało. Zdawało się,

że przy obradach nad tą ustawą powstaną wielkie trudności, uniemożliwiające jej uchwalenie w brzmieniu rządowym. Tymczasem sprawa poszła tak gładko, że wywołała u rządu, a szczególniej u ministra »obrony krajowej« nie małe zdziwienie, tym razem nader miłe. Najostrzej przeciw tej sprawie występowali socyaliści, piętnując w dosadny sposób nadużycia wojskowe. Najbardziej atakowali komendanta korpusu przemyskiego, generała Galgotzego. Przytaczali liczne dowody na srogie obchodzenie się z żołnierzami w korpusie przemyskim, w którym liczba samobójstw jest cztery razy większą, aniżeli w innych korpusach. Poseł Pernerstorfer nazwał Galgotzego »potworem w ludzkim ciele«, »okrutnikiem«, któremu żaden uczciwy człowiek nie powinien ręki podać. Z »Koła polskiego« przemawiali: p. ks. Pastor, p. Głąbiński i p. Rotter, który również bardzo ostro wystąpił przeciw generałowi Galgotzemu. Mowcy domagali się zniesienia barbarzyńskiej kary skuwania i przywiązywania do słupka (anbinden). Minister obrony krajowej hr. Welsersheimb obiecał wziąść pod rozwagę żądania posłów, lecz czy z tych obietnic co będzie, rzecz wątpliwa, bo ten p. minister już tyle razy czynił obietnice, z których ostatecznie wychodziły tylko wielkie... **figi!!!** Daj Boże, by w obietnicach i zapatrywaniach p. ministra obrony krajowej zaszła na lepsze zmiana.

Wiedeń. Ciągle się tu utrzymuie pogłoska o rychłe ustąpieniu galicyjskiego namiestnika hr. Pinińskiego. Nawet już wymieniają głośno nazwiska jego następców. Pomiędzy wymienionymi kandydatami figuruje także nazwisko byłego ministra sprawiedliwości p. Madejskiego. Prezes »Koła polskiego« p. Jaworski, zapytany o zdanie co do kandydatów na namiestnika Galicyi odpowiedział: najlepszym byłby hr. Kazimierz Badeni były już namiestnik i były minister prezydent. Czy więc te pogłoski opierają się na prawdzie, czy też tylko na domysłach, dowiemy się w niedługim czasie. Faktem jednak jest, że stanowisko obecnego namiestnika jest zachwiane.

Każdy nowy prenumerator, który teraz zapłaci prenumeratę 5 koron na cały rok, nabywa po upływie sześciu miesięcy prawa, iż na wypadek jego śmierci wdowa i sieroty po nim otrzymają z Redakcyi „Obrony ludu“ dobrowolną zapomogę w kwocie 100 koron. Każdy więc, kto chce mieć takie prawo do zapomogi, musi być przynajmniej 6 miesięcy prenumeratorem naszej gazety. Każdy więc nowy prenumerator, który zapłaci 5 koron w lutym, nabywa prawa do zapomogi po 6 miesiącach, a więc w sierpniu, kto zapłaci w marcu, nabywa prawa we wrześniu i t. d.

Kronika i rozmaitości.

Jak się dostali na wesele! Jednego chłopa też sąsiad nie zaprosił na wesele. Ale że i chłop i jego baba mieli chęć być na tem weselu rzekł więc chłop babie: „Słuchaj stara, będziemy tak robić, jakbyśmy się pobili. Ty będziesz uciekać ku sąsiadowi i krzyczeć w niebogłosy a ja będę z kijem za tobą gonił“. I tak się też stało. Baba jak nie zacznie wrzeszczeć i uciekać ku chałupie sąsiada a on za nią z kijem. Przypadli ku chałupie sąsiada, goście powylatywali przed sień, baby wzięły babę w obronę a chłopi chłopa. Posadzili go przy stole a właśnie podawali kaszę z masłem. Jedli wszyscy z jednej misy. Chłop opowiadał jak się to z babą pobił a jadł, że zaś miał głód tęgi, wyjadł prędzej przed sobą dziurę, niż weselnicy, którzy się już innego najedli. Coby zaś to tak nie raziło, prawi chłop tak: „Jakech tak za tą babą lecioł, to sie mi zdało, że gdybych ją dopod, tobych jej hnet tak głowe kole karku ukręcił!“ (A pokazując to, miskę okręcił wyjedzoną dziurą ku sąsiadowi).

Straszna omyłka. Dzienniki stanisławowskie donoszą: Przed dziesięciu laty zasądził trybunał sędziów przysięgłych w Stanisławowie Piotra Hnatycza za usiłowane morderstwo na 12 lat ciężkiego więzienia, które Hnatycz obecnie odsiaduje. Z końcem zeszłego roku wyszły na jaw okoliczności, które dowiodły niewinności Hnatycza, podejrzenie skierowały na Dmytra i Nykoła Polijników Stefana Stasiuka. Prokuratorya zwleka ze wznowieniem sprawy Hnatycza aż do wyniku rozprawy przeciw Stasiukowi i tow. Rozprawa ta odbędzie się 26 b. m. przed sądem przysięgłych w Stanisławowie, w czasie której stawać będzie Hnatycz jako świadek.

Rozbójnicy w kufrach. W jednym z majątków w powiecie nawłogradzkim w cesarstwie rosyjskiem, szajka rozbójników w niezmiernie pomysłowy sposób usiłowała ograbić obywatela ziemskiego, p. A. Oto pod pozorem kupienia od p. A. zboża, przybyło doń dwóch nieznanych mężczyzn. Po długich targach mniemani kupcy pozostawili zadatek, obiecując nazajutrz przywieść resztę pieniędzy i zabrać kupione zboże. Przed wyjazdem poprosili p. A., ażeby pozwolił pozostawić u siebie znajdujące się przy nich dwa kufry, nie chcąc z sobą wozić zbytecznego bagażu. Pan A. chętnie się zgodził, kazał postawić kufry w jednej z izb przy kuchni.

Przypadkowo przed wieczorem przybyli do p. A. dwaj handlarze Tatarzy, prosząc p. A. o pozwolenie przenocowania. Pan A. zgodził się i pomieścił Tatarów w tej izbie, gdzie mieściły się pozostawione przez kupców kufry. Tatarzy urządzili sobie posłanie na pozostawionych kufrach. W nocy jeden z Tatarów zbudzony został jakimś podejrzanym szeptem, wydobywającym się z pod posłania. Po chwili, ku ogromnemu swemu przerażeniu poczuł, że wieko kufra podnosi się do góry. Tatar zbudził swego towarzysza i obaj poczęli krzyczeć, wołając ratunku. Na krzyk ich nadbiegła służba, a później p. A.

Otworzono kufry i przekonano się, że w każdym kufrze znajduje się dobrze uzbrojony człowiek. Pan A. ludzi tych kazał związać i umieścić w bezpiecznem miejscu pod dozorem, następnie kazał pogasić uwiatła i uzbroiwszy się wraz ze służbą, począł oczekiwać dalszego ciągu zagadkowej historyi. Wkrótce przed dom zajechała bryczka, z której wysiedli rzekomi kupcy, właściciele kufrów. Jeden z nich, podszedłszy do okna zapukał, zapytując się czy wszystko gotowe. Z domu odpowiedziano, że tak. Wówczas rozbójnicy uchylili lufcik, usiłując przezeń dostać się do wnętrza domu. Wtedy p. A. wypalił doń z rewolweru, kładąc go

trupem na miejscu. Drugi złobzyńca, nie rozumiejąc snać, co się stało, zbliżył się również do lufcika. Pan A. wypalił po raz wtóry i ciężko ranny rozbójnik padł na ziemtę.

Natychmiast przez umyślnego posłańca zawiadomiono władze, które przybyły na miejsce wypadku. W schwytanych napastnikach poznano członków od dawna już grasującej w okolicach szajki rozbójników. Niefortunnych mieszkańców kufrów odstawiono do więzienia

Jako nauczyciel ludowy zajmuję się od kilkudziesięciu lat sadownictwem, a mnóstwo dziczków i szczepków rozdałem między lud i kolegów bezinteresownie. Do uszlachetnienia potrzebuję zrazów z szlachetnych drzew. W tym celu udawałem się do Zakładów krajowych i zagranicznych o zrazy. Żaden z nich nie chciał prośbie mej bezinteresownie uczynić, tylko Wielmożny Pan A. Rużycki, profesor szkoły Czernichowskiej od kilku lat nadsyła zrazy szlachetnych drzew do uszlachetnienia dziczków, a nadto zrazy są całkiem odpowiednie do naszego klimatu, przeto Zakład ten krajowi wielkie usługi oddaje, gdyż z czasem sadownictwo podniesie się w kraju, a owe miliony koron, które z kraju rokrocznie idą do krajów sąsiednich, pozostaną w kieszeniach mieszkańców naszego kraju, a kraj o tyle stanie się bogatszym.

Za tę bezinteresowną hojną ofiarność składam Wielmożnemu Panu profesorowi szkoły czernichowskiej publiczne podziękowanie.

Branice, dnia 21 stycznia 1903 r. *Ludwik Urbański.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. J. Tomalski. 5 kor. otrzymaliśmy. Podobno w Sporyszu jest już inny wójt, więc i porządki w gminie będą inne.

P. St. Jabrucki. Za pomyłkę przepraszamy, która zaszła skutkiem nieuwagi administratora. Gazetkę nadal wysyłamy.

P. W. Pająk. 5 kor. otrzymaliśmy i gazetkę wysyłamy. Gdyby Pan, którego numeru nie otrzymał, prosimy zaraz napisać.

P. W. Mutkowski. Prenumeratę 4 kor. a następnie 2 kor. otrzymaliśmy. Już to prawda, że człowiek nie wie dnia ani godziny i nie wie, co go jutro czeka.

P. P. Franciszek Rajm i Jan Swistak. Dobrze! Jeszcze będzie czas. Mamy nadzieję, że za powiatem Bochnia pójdą i inne powiaty.

P. Tomasz Dul. Gazetki posyłane były pod dawnym adresem, obecnie adres zmieniony.

P. S. Wilczkiewicz. Prenumerata za rok 1902 zapłacona.

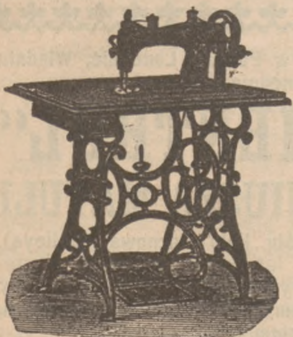
P. W. Zaborski. Prenumeratę na rok 1903 otrzymaliśmy.

P. M. Mika. Wszystko zapłacone.

P. J. Migdałek. Prosimy o podanie liczby domu, bo nie wiemy komu zapisać posłaną prenumeratę, bo jest także prenumeratorem imiennik.

P. J. Krok. Prenumerata za rok 1902 zapłacona, gazetek Pan nie otrzymał, bo był mylny adres.

P. J. Betlej. Za rok 1902 nic się nie należy.



Największy skład Singera maszyn do szycia i haftu

R. PAWŁOWSKIEGO,

dawniej I. IWANICKIEGO

w Krakowie, Rynek Główny L. 18

poleca maszyny do szycia i haftu najnowszej konstrukcyi, odznaczające się zupełnie cichym i lekkim chodem, dokładnem wykończeniem i nadzwyczajną trwałością.

Nauka haftów i wszelkich robót maszynowych bezpłatnie.

Nie mając całych zgrai natrętnych ajentów, mogę każdą maszynę sprzedawać o 10–20 K taniej.

Cenniki rozsyła się darmo i opłatnie.

PRACOWNIA I SKŁAD - -
SZTUCZNYCH KWIATÓW **STEFANIA**

W KRAKOWIE, Rynek główny vis-à-vis kościoła św. Wojciecha

poleca

wszelkie wyroby kwiatów, jako to: bukiety kościelne, wieńce żałobne, kwiaty i krzewy ozdobne do salonów i kapeluszy, również utrzymuje na składzie materye, liście i wszelkie przybory do kwiatów po cenach umiarkowanych.

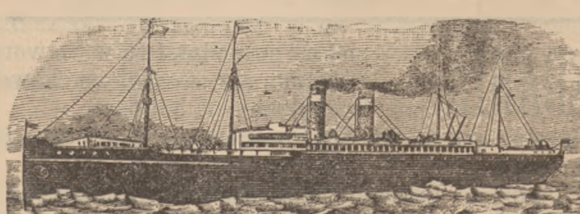
Przez Wysokie c. k. Namiestnictwo

KONCESYONOWANE

BIURO PODRÓŻY I SPEDYCYJNE

ZOFII BIESIADECKIEJ, OŚWIĘCIM, DWORZEC.

sprzedaje bilety kolejowe okrężne



karty okrętowe I-szej i II-giej klasy

oraz **karty międzypokładowe** dla **wychodźców do Ameryki.** Ceny najniższe. Wymiana pieniędzy. Prospekta darmo i opłatnie.

Wydawcy i właściciele: **Ks. Andrzej Szponder i Dr Michał Danielak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Władysław Jaśko.**

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.